

Agnieszka Karpowicz

Instytut Kultury Polskiej

Uniwersytet Warszawski

Pierzyna czy kołdra? Szycie mapy Mazur

Szwy

Gdy sięgnąć do wydanego całkiem niedawno, bo w latach 20. XX wieku, przewodnika po Warmii i Mazurach, uderza fakt, że nie można odnaleźć w nim wielu miejsc, które dobrze się zna, a nawet tych, w których się mieszka (lub długo mieszkało, co dotyczy autorki tego tekstu, urodzonej i wychowanej na Mazurach, i ma znaczenie, ponieważ poświadcza większą niż okazjonalno-turystyczna znajomość topografii tego terytorium), przy czym paradoks polega na tym, że ten dyskomfort poznawczy wywołują same nazwy. Szybko bowiem – jeśli oczywiście kiedykolwiek interesowaliśmy się choć odrobinę historią tych okolic – okazuje się, że wszystkie miejsca są w przewodniku. Trudno więc znaleźć tam Giżycko, ale: „na przesmyku między jeziorami Mamry i Niegociniem” leży „miasto Lec (Lötzen) zwane też Łuczany. Liczy on 7000 mieszk. Bez wojska – nadto posiada silny garnizon, jako twierdza nadgraniczna. Polaków 600”¹.

¹ M. Orłowicz, *Ilustrowany przewodnik po Mazurach Pruskich i Warmji*, Lwów, Warszawa 1922, s. 43. Dalej cytaty oznaczam w tekście głównym podając w nawiasie numer stron, we wszystkich cytatach zachowuję pisownię oryginalną.

Jeśli zaś nie znamy nazewnictwa-historycznych perypetii miasta, nietrudno zlokalizować współczesne miejsca kierując się wskazówkami topograficznymi dawanyymi przez autora: jeziora mazurskie jakimś cudem ustrzegły się większych nazwennych zmian, chociaż w przewodniku są, rzecz jasna, podawane wersje polsko- i niemieckojęzyczne, ale i one mało się od siebie różnią brzmieniem. Jak wyjaśnia autor, nazwy obcojęzyczne mają pomóc czytelnikom korzystającym z niemieckich materiałów turystycznych i map, których było wtedy znacznie więcej niż źródeł polskich, a w zasadzie sam Orłowicz wypełnia właśnie lukę, jaką jest zupełny brak polskiego przewodnika turystycznego po ziemiach pruskich.

Zabieg nazwenny bardzo przypomina ten, który zastosowano w jednym ze współczesnych, polskich przewodników po Litwie. Autorzy zaproponowali tam wręcz tabelę z nazwami własnymi między innymi miast, rzek i jezior zestawiając w niej aktualną nomenklaturę litewską z dawnymi, polskimi odpowiednikami: Alytus/Olita, rzeka Neris/Wilia, Zaniemenie/Užnemunė i inne². Jeśli przewodnik ma być gatunkiem funkcjonalnym, to w obu przypadkach, choć historycznie różnią się one pod kilkoma względami, polskie nazwy pragmatyczne nie są, ponieważ poruszanie się po realnym terytorium ówczesnych Mazur, jak i współczesnej Litwy, umożliwia przecież posługiwanie się nazwennictwem miejscowym, w języku tubylczym, w którym można podać tę nazwę pytając mieszkańców o drogę, obecnym na drogowskazach i tabliczkach informacyjnych. Oczywiście Mieczysław Orłowicz jest w dużo trudniejszym położeniu niż autor przewodnika po Litwie, nie ma możliwości zasugerowania, że oto turysta będzie mógł „na własne oczy ujrzeć magiczne światy Wańkowicza, Weysenhoffa, Miłosza czy Konwickiego”³, ani zachęcania do oglądania oszczędzonych przez front wojenny „reliktów

² A. Dylewski, *Litwa. Przewodnik Pascala*, Bielsko-Biała 2006, s. 48–49.

³ Tamże, s. 17.

historii Polski”⁴, których tu zachowało się jego zdaniem więcej niż w obrębie granic współczesnej Polski. Jest wręcz przeciwnie, przedwojenny autor nieustannie obcość kulturową Mazur podkreśla, a swojskość i sentymentalną nostalgiją odczuwa dopiero na Warmii. Nie może też, rzecz jasna, przywoływać „miło brzmiącego dla polskiego ucha” języka, w którym z łatwością można wychwycić „swojskie” „autobusasy” i „pomidorasy”⁵ niezależnie od tego, że polskość tych akurat słów nie jest wcale taka oczywista. Na przedwojennych Mazurach: „Restauracje, kawiarnie i cukiernie są wyłącznie w rękę niemieckiem, a ich właściciele nie uważają nawet za potrzebne trzymanie po polsku rozumiejącej służby i prenumerowanie pism polskich” [s. 39]. Współczesny autor może uspokajać:

Na szczęście dla tych, którzy nie są w stanie przyswoić sobie podstaw języka litewskiego, z wieloma mieszkańcami Wilna i Wileńszczyzny można porozumieć się w języku polskim. Znają go nie tylko, co oczywiste, Polacy, ale także spora część Litwinów i Rosjan⁶.

Dalej zaś nic mu nie przeszkadza zwracać uwagę na to, że nie wszyscy mają tam dobry stosunek jedynie do języka rosyjskiego i należy posługiwać się nim ostrożnie. Orłowicz zmuszony jest natomiast na każdym kroku ostrzegać, że nie jedziemy „do siebie” i po polsku porozumiemy się jedynie w niektórych wsiach: „Urzędowe rozkłady jazdy nie podają polskich nazw miejscowości. Personel, usługujący w restauracjach kolejowych mówi tylko po niemiecku” [s. 38], „Wszędzie niemieckie drogowskazy” [s. 39].

To prawda, że historia Łuczana/Leca/Lötzen/Giżycka (do wyboru) nie jest może pod względem nazewniczym aż tak imponująca jak dzieje miasta Płowdiw opisywanego w książce *Poza mapą*, któremu zmieniano nazwę dwanaście razy w ciągu dwóch tysięcy

⁴ Tamże.

⁵ Tamże, s. 47.

⁶ Tamże, s. 47. Podkreślenie moje.

lat jego istnienia⁷, jednak samo przemianowanie i ruchomość nazwy sprawiają, że ono także staje się „zarazem przerażające i kuszące”⁸, jakby wbrew jego lekkim, powierzchniowym, rekreacyjno-wakacyjnym wizerunkom z żaglówką w tle. Gdyby jednak doliczyć warianty sprzed 1612 roku (kiedy to wsi nadano prawa miejskie i urzędowo zatwierdzono nazwę), Giżycko mogłoby z Płowdiwem konkurować: Nowa Wieś, Lözenburg, Letzen, Lezen, Lezen, Lessen, Leczen, Lützen... Historia ta wpisuje się jednak mniej w dzieje języków narodowych i ich stabilizacji czy standaryzacji związanej z narodzinami kultury druku i tekstualizacją przekazów językowych⁹, a bardziej w spostrzeżone przez Alastaira Bonnetta zjawisko, jakim jest dwudziestowieczna mania nazewnicza, pozornie niewinna, a przecież odsłaniająca (i przysłaniająca jednocześnie) krwawe dzieje wieku dwóch wielkich wojen:

Nadawano nowe nazwy wszystkiemu, od wiosek po kraje; czyn ten, z pozoru prosty i niewinny, miał zaś przemożny wpływ na mieszkańców, nierzadko bowiem staremu miejscu narzucał nową tożsamość narodową¹⁰.

Przemianowanie to czynność błaha, a w zasadzie dość absurdalna przez swoją przypadkowość, jeśli zauważymy, że na przykład Wojciech Kętrzyński urodził się w Giżycku, a nie w Kętrzynie. Nazwa „Giżycko” obowiązuje od 1946 roku, kiedy to uznano, że wszelkie określenia typu „Lec” czy „Łuczany” są zamaskowaną nazwą niemiecką i arbitralnie zadekretowano nową, pochodzącą od nazwiska urodzonego z kolei w Piszcu, ale mieszkającego później

⁷ A. Bonnett, *Poza mapą. Utracone przestrzenie, niewidzialne miasta, zapomniane wyspy, dzikie miejsca*, przeł. J. Żuławnik, Warszawa 2015, s. 27.

⁸ Tamże.

⁹ Na temat związków prasy drukarskiej z językami narodowymi zob. J. Burke, *Osiem stopni wtajemniczenia, czyli jak zmienialiśmy świat*, przeł. K. Środa, Londyn 1995 (rozdział III); L. Febvre, H.-J. Martin, *Narodziny książki*, przeł. A. Kocot, M. Wodzyńska-Walicka, Warszawa 2014.

¹⁰ A. Bonnett, *Poza mapą*, s. 27.

w Lecu Gustawa Gizewiusza posługującego się zlatynizowaną wersją nazwiska Giżycki. Znamienne, że kanał płynący przez Giżycko nazwano jednak „Łuczańskim” – mazurskie wody były wtedy, jak widać, z materii zbyt płynnej, by mieścić się w sztywnych formach apodyktycznych nazw (przedwojenne Śniardwy [niem. Spirdingsee] również Śniardwami pozostały); albo wymykały się im, albo nie były godne uwagi. Tę drugą możliwość potwierdzałby fakt – autentyczny, choć pewnie dziś niewiarygodny, ponieważ mówimy o turystycznym centrum „serca Mazur”, Krainy Wielkich Jezior – że na ogromnej giżyckiej plaży miejskiej tuż przy porcie i moło w latach 80. i 90. XX wieku obowiązywał całkowity zakaz kąpieli ze względu na skalę zanieczyszczenia. Po wojnie jeziora długo służyły przecież swoim nowym gospodarzom do odprowadzania ścieków, także tych przemysłowo-rolniczych.

Nazwa, jak dowodzi również Bonnett, stawać się może i orężem walki, i jej uprawomocnieniem w sferze symbolicznej, podobnie jak uzasadnieniem geopolitycznego przesuwania granic, i chociaż nie jest sloganem, funkcjonuje jak propagandowe „słowo-bronń”¹¹. Performatywność nazw ustanawianych w sposób zinstytucjonalizowany nierozzerwalnie wiąże się z ich sprawczością: „Kiedy w 1930 roku Smyrna oficjalnie zmieniła nazwę İzmir, usunięto jej greckich mieszkańców, po czym miasto odrodziło się jako czysto tureckie”¹². Zresztą w operacjach nazewniczych samo pomijanie znaków charakterystycznych dla języków tubylczych i ignorowanie ich w transkrypcji z innego alfabetu może być z jednej strony przejawem etnocentryzmu czy gestem kolonizatorskim, a z drugiej – ukrytą sugestią, że nigdzie nie istnieją ludzie mieszkający w, powiedzmy, Nagykőrös albo po prostu nie istnieje ono samo¹³.

¹¹ O. Reboul, *Kiedy słowo jest bronią*, przeł. J. Arnold, w: *Język i społeczeństwo*, red. M. Głowiński, Warszawa 1980.

¹² A. Bonnett, *Poza mapą*, s. 28.

¹³ R. Bringhurst, *Elementarz stylu w typografii*, przeł. D. Dziewońska, Kraków 2007.

W *Poza mapą* autor tropi terytoria najbardziej dzikie, niejednoznaczne, niczyje, egzotyczne, nieuwzględniane na mapach albo uwzględniane, ale już nie istniejące realnie. Właśnie dla Prus Wschodnich – których część leży dziś nie za oceanami, „siedmioma górami i siedmioma lasami” ani u dorzeczy dzikiej Amazonki, lecz około cztery godziny jazdy z Warszawy – znalazł miejsce gdzieś między rozbudzającymi wyobraźnię i żądzę zamorskiej przygody nazwami takimi jak Twail Abu Dżarwal, Nahuaterique, Bir Tawil, Kijōng-dong czy Derinkuyu:

Podział Prus Wschodnich w 1945 roku i rozdysponowanie ich terytorium pomiędzy Polskę [...] a Związek Radziecki [...] miały charakter zemsty i były w istocie czystką etniczną. Niemcy, którzy od wieków stanowili zdecydowaną większość w tym wschodnim pruskim bastionie, w ciągu kilku lat całkowicie opuścili te tereny: uciekli na Zachód przed Armią Czerwoną albo wyjechali wypędzeni dekretem Stalina. To wszakże, co Max Egremont nazywa „szpetną przeszłością” Prus, wciąż daje o sobie znać: od czasu do czasu odkurza się pomysł powrotu Kaliningradu, stolicy rosyjskiego obwodu, do dawnej niemieckiej nazwy „Königsberg” kojarzącej się nie z sowieckimi żołdatami, lecz z filozofami, klasztorami i zamkami – i zaraz znów się zapomina¹⁴.

Fragment stanowi w istocie dygresję do opowiadanych w tym miejscu perypetii Petersburga (Leningradu / Piotrogradu / Sankt Pietierburga) na tle dwudziestowiecznej historii ZSRR, ale jeśli zgodzimy się, że wiele mazurskich miast i miasteczek podziela historię „wielu innych przemianowanych miejsc, poprzednie wcielenie miasta wydaje się kłopotliwe, ale też ciekawsze, czasem żywsze niż obecnie”¹⁵, to Giżycku na pewno należałby się dłuższy passus w leksykonie miejsc zapomnianych, przemilczanych, niewidzialnych. Oczywiście nie do końca sytuacja „utraconego miasta”, Leningradu, jest tu adekwatna: „w 1991 roku powrócono do dawnej

¹⁴ A. Bonnett, *Poza mapą*, s. 28.

¹⁵ Tamże, s. 32.

nazwy. Leningrad zniknął z mapy, to prawda, ale nie z ludzkiej pamięci¹⁶. W przemianowanym Giżycku o Lecu, Lötzen i Łuczanych w zasadzie nie miał kto pamiętać.

Relacja między Mazurami a Prusami Królewskimi i inne skomplikowane przyczyny, dla których w tym fragmencie mowa także o Polsce, wymagałyby zapewne oddzielnego rozdziału, jaki powinien się mieścić gdzieś pomiędzy częścią poświęconą „utraconym miejscom” a tą, w której mowa o „ukrytej geografii”. Określenie to należałoby jednak traktować bardziej metaforycznie niż Bonnett – Giżycko nie skrywa się pod powierzchnią ziemi jak miasta Kapadocji, to jedynie zarysy jego dawnej kartografii przebiegają gdzieś – dziś już bardzo niewyraźnie – spod cienkiej, papierowej powierzchni współczesnej mapy Polski. Gdyby zaś uzupełnić wywód autora w tym miejscu, na pewno sproblematyzować go warto przytaczając fakt wcześniejszej historii odpływu Mazurów z Prus Wschodnich pod koniec XIX stulecia i na początku XX wieku oraz zasiedlania tych ziem przez ludność z głębi Niemiec pod naporem narodowego socjalizmu¹⁷. Robert Traba wskazuje na prekursorstwo Melchiora Wańkowicza i jego *Na tropach Smętka* w podejmowaniu tego wątku w polskojęzycznej literaturze przedmiotu, a ponadto wskazuje na bliskość misji wpisanej w tę książkę i tej, która przyświecała przewodnikowi Orłowicza, nie przekreślając przy tym całkowicie badawczego potencjału i wartości obu pozycji dla współczesnego rozpoznawania historii tego terenu. Zamiast więc mówić o odwiecznej i monolitycznej niemieckości etnicznej tych ziem, można by zbudować wielopiętrową narrację o zawiłym procesie manipulowania ich etnicznym charakterem, rozwikłać zagadkę, dlaczego we współczesnej, polskiej Wikipedii Węgorzewo leżące nieopodal Giżycka to nie tylko niemiecki

¹⁶ Tamże, s. 27.

¹⁷ R. Traba, *Po co czytać odkurzone klasyki? „Na tropach Smętka” Melchiora Wańkowicza po 75 latach*, w: *Sploty kultury*, red. N. Dołowy-Rybińska i in., Warszawa 2010.

Angerburg (w przewodniku Orłowicza nazwa podana jest w nawiasie po polskiej nazwie Węgobork), ale i litewska Ungura, a także uwzględnić wywód o trzeciej nazwie Kaliningradu.

Jeśli raz jeszcze zajrzeć do polskiego, przedwojennego przewodnika po Mazurach (jakby nieistniejących na mapie Bonnetta, bo niedających się tu utożsamiać z tym, co autor pisze o Kaliningradzie, a jednocześnie należących przecież do Prus Wschodnich), okaże się, że główna ulica Leca nosi miano Królewieckiej (w nawiasie, jak zawsze, pojawia się nazwa niemiecka, Königsberger Str.) i ciągnie się przez całe miasteczko aż po zamek krzyżacki, wtedy główny, okazały zabytek (ulegający stopniowej ruinie w czasach PRL, a dziś przebudowany na ekskluzywny hotel, co wpisuje się w mainstream współczesnych działań turystyczno-promocyjnych w regionie), a także Twierdzę Boyen leżącą na skraju miejscowości do dziś i ścieżkę rekreacyjno-widokową prowadzącą do krzyża św. Brunona wiodącą dalej do wsi Wilkasy (Wilkassen). Dziś dróżka jest dokładnie tak zadbana, przyjemna i urokliwa, jak opisuje ją Orłowicz, ale jeszcze w latach 80. i 90. nie rozpoznalibyśmy w jego narracji zarośniętej, podmokłej ścieżynki przedzierając się wśród chaszczy, sitowia i brnąc w błocie, o ile w ogóle udałoby nam się przez nią przedrzeć lub ją zauważyć. Skoro ulica Królewiecka jest główną arterią przecinającą całe miasto, współcześnie odpowiadać jej musi (co potwierdzają niemieckie, przedwojenne pocztówki) główny trakt wiodący ulicą Olsztyńską przechodzącą przez plac Grunwaldzki (nazwa upamiętniająca „polskie” zwycięstwo nad Zakonem niezwykle dobrze komponowała się w latach 80. i 90. z marnymi szczątkami krzyżackiego zamku) w ulicę Warszawską. Zmiana nazw doskonale oddaje nie tylko realną przynależność terytorialną, ale też główne kierunki i większe ośrodki kulturalne, ku którym zwrócone jest miasto. Podobnie jak po drugiej wojnie zaczęło ono przyciągać masowo polskich turystów z Warszawy, tak przed pierwszą wojną, jak pisze Orłowicz, było ono rekreacyjnym zapleczem „letników niemieckich głównie z Królewca” [s. 45].

Przypadek mazurski jest o tyle egzotyczny, że w zasadzie nic się nie zmieniło: czytając przewodnik z lat 20. XX wieku, co warto ponownie podkreślić, możemy wręcz powoli przyporządkowywać nazwy miejscom, jeśli te miejsca znamy z doświadczenia. Rzecz jasna, nie znajdziemy już winiarni Rohrera, hotelu Deutsches Haus ani Germania przy ul. Królewieckiej, łaźni Feyersängera na rynku ani księgarni Kühnela. Zresztą na tle dwudziestowiecznej historii nie ma nic nadzwyczajnego w tym, że niektóre miejsca, budynki, ulice, czasem całe miasta w pewnej części Europy, nagle przestały istnieć lub diametralnie zmieniały swój charakter, przynależność terytorialną, a więc i nazwę, choć należałoby raczej powiedzieć, że właściwie wszystkie te sytuacje są równie nadzwyczajne. Lecz Giżycku daleko przecież pod tym względem choćby do Warszawy – wyburzonej i wciąż odbudowywanej i przebudowywanej zgodnie z „duchem czasu” (a raczej demonami i upiorami wciąż zmieniających się czasów). Tu większość tych samych budynków, placów i ulic, struktura urbanistyczna i charakter zabudowy są nawet dziś zgodne z opisami Orłowicza, czasem jest to wręcz miejsce, w którym faktycznie znajduje się księgarnia, kościół ewangelicki lub poczta, a zmieniają się „jedynie” nazwy. Bez wybuchów, burzenia, rozbiórek i zrównywania materialnej tkanki miasta z ziemią, przy pomocy zmiany nazw lub funkcji tego, co istniało i istnieje nadal w sensie fizycznym (słynne szkolenia dla traktorzystów lub magazyny zboża w poniemieckich dworach), a czasem przez poniechanie i zostawienie na pastwę losu (krzyżackie zamki, niemieckie cmentarze) – tak właśnie, działając po części na samej mapie terytorium, bez odniesienia do niego, w zamkniętych gabinetach i biurach, sprawiono, że to samo i w zasadzie takie samo miejsce w ciągu kilkudziesięciu lat przestało być tożsame z sobą samym. Podobnie jak w przypadku Smyrny, za przemianowaniem szła bowiem czystka etniczna, zresztą często dokonywana tu przecież – podobnie paradoksalnie jak niszczenie dziedzictwa architektoniczno-kulturowego – bez głośnych wybuchów bomb, komór gazowych i masowych grobów czy miejsc egzekucji, które mo-

głyby dziś stać się miejscami pamięci, bo żeby tak się stało, musiałyby istnieć zbiorowość, która o wymierającej mazurskości lub niemieckości chciałaby pamiętać, a przecież trudno wymagać tego od tych, którzy przyjechali tu po wojnie spod Wilna lub Baligrodu i nie wiedzieli nawet, o czym mieliby pamiętać, a gdyby wiedzieli, nie widzieliby sensu w kultywowaniu „krzyżacko-hitlerowskiej” przeszłości.

Tkanina

Tekst przewodnika Orłowicza, opisujący miejsce istniejące dziś i wtedy realnie, fizycznie i geograficznie, ale pochodzący z (nie tak znów odległej) przeszłości, pozwala odnajdywać pewne punkty w przestrzeni i utożsamiać je z obecnymi bardzo często jedynie dzięki znajomości miasta, jego topografii i historii. Giżycko, jak widać, zwane bywało różnie, co podkreśla wymienne stosowanie nazw przez Orłowicza, zaznaczone także w indeksie na końcu przewodnika. Jednak pod względem doświadczenia przestrzennego chodzi wciąż o jedno i to samo miasto. To rozchwianie nie przeszkadza oczywiście w tym, żeby i dziś, i dawniej podziwiać wyjątkowe piękno mazurskich krajobrazów i „z Lecu” „odbywać ładne wycieczki wodne, a to albo łodzią wiosłową, albo motorową, albo żaglową” [s. 47].

Przed drugą wojną światową Mieczysław Orłowicz, który stworzył na zamówienie Ministerstwa Robót Publicznych w Warszawie przewodnik po Warmii i Mazurach, sam przyznawał, że zwiedził te tereny w 1913 roku i do czasu wydania książki w 1922 roku nie miał możliwości zweryfikować zebranych informacji. Najpierw przeszkodził temu wybuch wojny, a w 1920 roku przewodnik miał zostać wydany w celach propagandowych przez komitet plebiscytowy, ale po przegranej opcji propolskiej komitet został rozwiązany. Gdy autor publikuje w końcu po dziewięciu latach swój przewodnik (w ramach całego cyklu podobnych be-

dekerów po wszystkich ziemiach pruskich), nie ma do dyspozycji żadnych opracowań w języku polskim, dysponuje jedną jedyną mapą w tym języku, wydaną przez „Komitet Mazurski”. „Układając przewodnik nie miałem możliwości ze względów politycznych przeglądać wszystkiego na miejscu” [s. 6] – stwierdza wprost Orłowicz. Szczerze przyznaje, że niejedna informacja może dotyczyć czegoś, co już nie istnieje, a być może pojawiły się też elementy nieistniejące w przewodniku. Bardzo łatwo sobie wyobrazić autora w zabawnej sytuacji podobnej do anegdotycznego zwiedzania przez Leopolda Tyrmanda realnego Nowego Orleanu, sprawdzającego z duszą na ramieniu, czy na pewno dobrze opisał wcześniej jego topografię w swojej książce i odkrywającego opis skrzyżowania dwóch ulic, które w rzeczywistości wcale się nie spotykają¹⁸. Anegdota byłaby jednak trochę mniej zabawna po pierwsze dlatego, że po kilkunastu latach od wydania przewodnika Orłowicz w ogóle nie mógłby tam pojechać (przypomnijmy za Robertem Trabą, że dziewiąte wydanie *Na tropach Smętka* zostało skonfiskowane przez władze okupacyjne już we wrześniu 1939 roku¹⁹). Po drugie, wiele nieścisłości mogłoby wynikać ze spustoszeń wojennych w latach 1914–1915, których skutków autor nie mógł już sprawdzić na miejscu:

Niejedno zatem, co istniało w r. 1913, dziś już nie istnieje, lub istnieje w zmienionym kształcie. O ile zatem tu i ówdzie z powodu zmian zaszyłych w czasie wojny i po wojnie, znajdzie się jakaś omyłka lub niedokładność, proszę czytelników o uwzględnienie tego [s. 6].

Fragment ten uzmysławia jeszcze jedną sprawę, podkreślającą obcość Mazur wobec Polski: ich historia nie jest integralną czę-

¹⁸ „Jazz był aktem odwagi”. Z Leopoldem Tyrmandem rozmawia Paweł Brodowski, „Jazz Forum” 1985, nr 3. We wprowadzeniu do rozmowy autor przytacza historyjkę związaną z książką *U brzegów jazzu*, a opowiedzianą przez Allana Jaffe, właściciela legendarnego klubu muzycznego Preservation Hall.

¹⁹ R. Traba, *Po co czytać odkurzone klasyki?*, s. 477.

ścią jej dziejów (a przynajmniej perspektywa, z której trzeba by o tych samych, europejskich wydarzeniach opowiedzieć musiałyby być diametralnie inna), chociaż teren stanowi bezsprzecznie skrawek polskiego terytorium. Mieczysław Orłowicz trafnie spostrzega tę obcość pisząc o zaborach: „W dziejach Mazur [...] niczem się nie zaznaczyły, pozatem że upadać zaczęły żywe przedtem stosunki handlowe z Warszawą” [s. 25], dodając od razu, że najdotkliwiej i najbardziej negatywnie w historii regionu dały się z kolei odczuć krwawe wojny napoleońskie. Radosny dla Polski – przynajmniej w świetle oficjalnych i podręcznikowych narracji historycznych – 1918 rok przyćmiewały w tych okolicach inne wydarzenia:

w sierpniu i w listopadzie 1914 r. mieszkańcy Mazur rzucili swe domostwa na pastwę losu, a gdy do nich wrócili z wiosną 1915 r., zastali przeważnie tylko gołe ściany albo gruzy. Jedne miasta podpalili Rosjanie, inne uszkodzono w czasie bitew, mosty w czasie odwrotu poniszczyli Niemcy. W ciągu kilku miesięcy walk, kwaterunków i rabunków kraj zmienił się w zgliszcza [s. 30].

Narracja przewodnikowa nieustannie prześlizguje się między próbą traktowania ziem pruskich jako źródłowo polskich i odebranych, a dostrzeganą raz po raz ich kulturową innością, ocenianą negatywnie jako efekt niemieckiego zawłaszczenia terytorium. I faktycznie jako pozytywny skutek Wielkiej Wojny (o ile wojny w ogóle mogą taki mieć...) Orłowicz może traktować jedynie – i jak pokazują dalsze dzieje, mocno na wyrost – to, że:

Przegrana na zachodzie i upadek cesarstwa niemieckiego zdarły z niemieckości urok potęgi. [...]

Mazur na różnych frontach i w niewoli poznał kraje i ludzi, i przekonał się, że ani Niemcy w świecie nie znaczą tak wiele, jak to sami o sobie głosili, ani też znowu Polacy tak mało, jak przed wojną w niego wmawiali [s. 31].

W tym autor przewodnika upatrywał nadziei na wzmocnienie polskiego ruchu narodowego na Mazurach dzięki odzyska-

niu przez „pojęcie polskości nimbu, który przygaś w epoce rozbiorów” [s. 31]. Porównanie historii ludności Mazur z czasów zakończenia drugiej wojny światowej i tuż po niej z ówczesnymi dziejami Polski zostawmy w domyśle – przewodnik Orłowicza z naturalnych względów tak daleko nie sięga.

Orłowicz dostrzega liczne zalety tych cywilizowanych terenów: gęstą sieć kolejową, stacje w niemal każdym mazurskim miasteczku, „publiczność” Mazurów podróżujących klasą czwartą, która „jest przyzwoitsza, niż w innych dzielnicach Polski w kl. III” [s. 38], wszechobecne omnibusy hotelowe, „dorożki taksametrowe” [s. 39] w każdym miasteczku, trolejbusy, liczne restauracje, dobrze utrzymane parki i pensjonaty. Jednocześnie nie poleca wizyt w kawiarniach: „jak wszędzie w Niemczech fatalne, a kawa zła. Podają ogromne naczynie z czarną kawą, a maleńkie z mlekiem” [s. 39]. Jego zachwyty nie budzi też mazurska zabudowa i od domów murowanych, okolonych wysokimi, kamiennymi murami, pokrytych dachówką (ze względu na zakaz krycia ich łatwopalną słomą) „pozbawioną piękna i swoistego charakteru” [s. 13] zdecydowanie woli drewniane i słowiańskie – bo katolickie! – chaty ludowe Warmii. Autor nieustannie przeciwstawia sobie wzajemnie narodową, polską tożsamość warmińskiego ludu, który nie uległ germanizacji także pod względem religijnym i powiaty mazurskie, czysto ewangelickie: „Wśród ewangelickich Mazurów rozwija się silnie sekciarstwo (Święci, Gromadki, Sztundyści)” [s. 13]. Już wtedy autor zauważał brak jakichkolwiek strojów ludowych, a także inny niż polski obrządek: sobótki, dożynki i „pasterka ewangelicka” [s. 14], jutrznia, miałyby stanowić jedyne w zasadzie święta. Można by sądzić, że w ten sposób faktycznie odnotował nie tyle zniemczenie tych ziem, ile efekty trwających już od końca XIX wieku działań na rzecz wymazania ich etniczno-etnograficznej swoistości. Fakt, że ludzie zamieszkujący te tereny wyznają inną wiarę niż sąsiedzi-Polacy, a jednocześnie mówią innym językiem niż sąsiedzi-Niemcy, wykorzystywały obie strony konfliktu – każda na swoją korzyść i w innym kierunku, choć do pewnego

momentu dokładnie tak samo. Paradoxy można mnożyć: słynny Gizewiusz broniący polskiej tożsamości Mazurów był przecież luteraninem. Przedwojenny przewodnik wpisuje się, rzecz jasna, w ten konflikt, jest on dedykowany profesorowi Eugeniuszowi Romerowi, „znakomitemu geografowi, niestrudzonemu obrońcy polskich kresów”, którego dzieło na temat „Polaków na kresach Pomorskich i Pojeziernych” [s. 3] Orłowicz ceni szczególnie, więc cel publikacji wydaje się aż nazbyt oczywisty i widoczny w przewodnikowej, ambiwalentnej narracji. Orłowicz balansuje między zachwytem a niechęcią, radością podkreślania rdzennej polskości tych ziem i smutkiem, gdy rozczarowuje go – jednak i mimo wszystko – ich niemieckość, kiedy nie do końca umie zrozumieć przyczyny, dla których:

Mimo braku inteligencji i mimo obojętności lub niechęci księży względem polskiego ruchu narodowego, zachował lud warmiński żywe poczucie narodowe, któremu dawał wyraz głosując przy wyborach stale na kandydatów polskich, co na Mazurach tylko wyjątkowo miało miejsce [s. 27].

Smucący autora charakter „zupełnie niemiecki” [s. 16] miast mazurskich to przecież również zauważane przez niego i jednocześnie bardzo chwalone: oświetlenie gazowe i elektryczne, ładne i zadbane budynki użyteczności publicznej, świetna sieć kanalizacji i wodociągów, zadbana zieleń miejska, eleganckie statki parowe, pociągi i karczmy na wysokim poziomie. Na Warmii wyróżnianej tu i stawianej za wzór nieugiętej i niezłomnej polskości, wciąż istnieje za to kilka mniej rozwiniętych miasteczek, które „zachowały swój starodawny charakter XVIII w.” [s. 16]. Widać też wyraźnie niezdecydowany stosunek autora do słabszego rozwoju cywilizacyjnego kilku ośrodków – przecież właśnie dzięki temu zachwycają one wciąż swoją dawną, prapolską urodą. Brzydota mazurskiej architektury wynikać ma z tych samych przyczyn, co wyższość Warmii nad Mazurami, czyli z różnicy wyznawczej:

Największa część zabytków artystycznych wszystkich epok jak wiadać z tego przeglądu znajduje się na Warmji, a Mazury są pod tym względem bardzo ubogie. Przyczyniła się do tego opieka biskupów i kapituły, zamożność miast, wcześniejsza kolonizacja, a wreszcie wytrwanie przy katolicyzmie, podczas gdy na Mazurach wprowadzenie reformacji zubożyło tamtejsze kościoły, gdyż ołtarze i inne zabytki usunięto jako niepotrzebne w protestanckim kościele [s. 38].

W sformułowaniach: „zła jak wszędzie w Niemczech”, podkreśla się obcość terenu wobec Polski, próbuje podkreślić nawet ich kulturową niższość, choć, jak widać, sprowadza się ona głównie do innych zwyczajów parzenia kawy i może jeszcze używania pierzyn zamiast kołder:

Gospody wiejskie, które z reguły znajdują się w chrześcijańskim ręku, korzystnie wyróżniają się od brudnych karczem dawnych zaborów rosyjskiego i austriackiego: wszędzie można przywoicicie zjeść i przenocować, a we wsiach, które mają większy ruch turystyczny, istnieją hotele i restauracje. W hotelach gości innych zaborów razi nakrywanie pierzynami, zamiast kołder, niemieckim zwyczajem, na żądanie dają koce [s. 39].

Problematyczność niektórych sformułowań z tamtego okresu i paradoksy etniczno-geograficzne rodzą się dopiero teraz, gdy czytamy przewodnik ze współczesnej perspektywy, zauważając na przykład jakoś przy okazji, że książeczka admiratora „obroncy polskich kresów” wydana została we Lwowie. Jednak przy okazji instruktażu dla turystów misternie zszywana mazurska mapa Orłowicza jakby lekko się rozchodzi, niewinna kwestia pościeli sprawia (bez intencji autorskich), że wyraźnie widzimy wszystkie szwy. Autor nie przeciwstawia tu przeciwieństwo polskiej czy chrześcijańskiej, wygodnej kołdry niemieckiej i ewangelickiej, siermiężnej pierzynie, na pewno też zawahałby się zestawiając niemiecką, czystą karczmę z mniej elegancką i brudną, polską gospodą, co też sprawia, że w tym fragmencie pierwsze odwołanie do pozaborowej tożsamości kulturowej Polaków (oczywiście tej z poziomu łóżka i kawy,

a nie wielkiej Idei) okazało się bardzo wygodne. W ten sposób Orłowicz sam kategorię „polskości” z początków XX wieku problematyzuje i wskazuje na jej nieoczywistość pod pewnymi względami zarówno geograficznymi, jak i tymi, które należą do porządku codziennych przyzwyczajzeń łączonych tu z przynależnością terytorialną.

Podpis na mapie wraz z wyrysowaną linią graniczną zawsze ujednolica, wprowadza miejsce w świat tekstu, wydruku, graficzno-słownej reprezentacji i przyległości, a dalej rozprzestrzenia się na drogowskazy czy tabliczki z nazwą miejscowości w realnej przestrzeni, etykietuje przestrzeń i przynależne jej, ruchome i ruchliwe miejsce, czyni je statycznymi podobnie jak żywe organizmy – rośliny w ogrodzie botanicznym lub zwierzęta w klatkach zoologicznych:

Druk związał słowo z przestrzenią bardziej definitywnie. Można to obserwować w takich dokonaniach jak [...] wykorzystanie słów (zamiast znaków ikonograficznych) jako etykiet, jak wykorzystanie do przekazu informacji różnego typu drukowanych rysunków oraz wykorzystywanie abstrakcyjnej przestrzeni typograficznej do interakcji geometrycznej z drukowanymi słowami. [...]

Druk jest w stanie reprodukować absolutnie dokładnie każdą liczbę nieograniczenie skomplikowanych list i map²⁰.

Nazwy na Mazurach, te zadekretowane po 1946 roku, odrywają więc miejsca od rzeczywistości (podobnie jak drukowany tekst w Ongowskim rozumieniu odrywa akt komunikacji od kontekstu i żywej interakcji), czasem wręcz abstrahują, wypreparowują je z historii, nakładają na realny teren tekstową, abstrakcyjną i arbitralną sieć znaczeń, choć bardziej właściwe byłoby tu określenie „sieć braku znaczeń”. Ong, powołując się na badania Jacka Goody’ego, zauważa, że już manuskrypty łączyły słowa w rela-

²⁰ W. J. Ong, *Oralność i piśmienność. Słowo poddane technologii*, przeł. J. Japola, Warszawa 2011, s. 188 i 195.

cje przestrzenne, „gdyby jednak te relacje były wyjątkowo skomplikowane nie wytrzyma fantazji kolejnych kopistów”²¹. Widać, że w sytuacji, w której same relacje przestrzenne są wysoce problematyczne, a jeszcze bardziej te przestrzenno-nazewnicze, fantazja sprawdzałaby się chyba lepiej niż związany ze standaryzacją i unifikacją druk. „Zamiast czytać tekst zapisany, czytamy tło. Zamiast patrzeć na czarne literki, patrzymy na białe plamy między nimi.”²² – deklarują autorzy projektu antropologii pustych przestrzeni. I mapa, i każdy tekst jest przecież nimi usiany, pusta przestrzeń „na zadrukowanej stronie zajmuje ważne miejsce”²³. Mazury „wydrukowane” na mapie i stekstualizowane między innymi za pomocą ciągów czarnych znaczków, „wydruków porządku”²⁴, składających się w arbitralnie przydane słowo-nazwę, domagają się takiej właśnie „lektury”.

Mapa świata, na której wszystko jest jasno rozgraniczone, zajmuje stałe miejsce (położenie) w hierarchii. Taka mapa jest głęboko substancjalna. Nie sposób z niej kpić, jest monolitycznie poważna²⁵

– pisał Michaił Bachtin. Wyzyskując tę metaforę, która w istocie posłużyła badaczowi do diagnozowania kultury i zakorzenionej w niej literatury, można powiedzieć, że nie tylko akt literacki, lecz każdy fakt – zwłaszcza topograficzny – żyje na granicach, a „odsunięty od granic traci grunt, staje się pusty, arogancki, degeneruje się i umiera”²⁶. Jaka więc byłaby pozytywna koncepcja mapy

²¹ Tamże, s. 195.

²² J. Kociatkiewicz, M. Kostera, *Antropologia pustych przestrzeni*, w: *Pisanie miasta – czytanie miasta*, red. A. Zeidler-Janiszewska, Poznań 1997, s. 75.

²³ W. J. Ong, *Oralność i piśmienność*, s. 195.

²⁴ M. de Certeau, *Wynaleźć codzienność. Sztuki działania*, przeł. K. Thiel-Jańczuk, Kraków 2008, s. 145.

²⁵ M. Bachtin, *Z problemów teorii powieści. Z problemów teorii śmiechu*, przeł. T. Brzostowska-Tereszkiewicz, w: *Ja – Inny. Wokół Bachtina*, red. D. Ulicka, t. 1, Kraków 2009, s. 367.

²⁶ L. Witkowski, *Uniwersalizm pogranicza. O semiotyce kultury Michała Bachtina w kontekście edukacji*, Toruń 2000, s. 25.

wpisana w refleksję Bachtina (badacza zajmującego się przecież także chronotopem) i dlatego warto do niej dziś powrócić w kontekście geografii humanistycznej Mazur?

Dowodzi ona przede wszystkim wagi istnienia tego, co znajduje się zarówno poza centrum, jak i poza peryferiami, terenów ruchomych, płynnych, przejściowych, pogranicznych, jednak nie chodzi mi tu o dobrze już rozpoznane w teorii i praktyce powiązanie pograniczności z dialogiem, lecz o wpisany w tę koncepcję i dający się zrekonstruować projekt alternatywnej mapy świata, innej niż ta, która wszystko jasno rozgranicza i hierarchizuje czy też alternatywnego czytania tej, która już istnieje: ważne okazywałyby się same granice, a nie to, co one od siebie oddzielają, jej sercem nie byłyby stolice państw, lecz tereny przygraniczne dające „efekt zdecentrowania”²⁷ rozbijającego wszelkie upraszczające sprowadzanie rzeczywistości kulturowej do prostych opozycji, w obrębie których porusza się przecież i Orłowicz mapujący tę część świata („nasze/wasze”, „polskie/niemieckie”), choć, jak widzieliśmy, terytorium wciąż się takim przyporządkowaniom wymyka. Wszystkie skostniałe, sztywne formy kultury charakteryzuje w tej koncepcji nie tylko „surowa hierarchiczność”, lecz także „uświęcenie nienaruszalnych granic”²⁸. Granice są nie po to, by oddzielać, lecz po to, aby istniał teren przepływów, przenikania i wymiany, aby je przekraczać i przez chwilę zobaczyć to samo, a także siebie samego, z innej perspektywy, widzieć historię Mazur jednocześnie z dwóch (co najmniej) perspektyw rzucających światło (a raczej różne światła) na jedno i to samo wydarzenie, aby stworzyć mapę oddającą polifonię głosów w różnych językach²⁹. Zapewne ani fantazja kopyisty, ani mechaniczna sprawność maszyny drukarskiej nie udźwi-

²⁷ Tamże, s. 50.

²⁸ M. Bachtin, *Człowiek przed lustrem*, przeł. P. Pietrzak, w: *Ja – Inny*, s. 452.

²⁹ Inspirującą propozycję „ruchomego”, kulturowego czytania mapy Polski na przykładzie między innymi *Polskiego atlasu kongresowego* przywoływanego przez Orłowicza Eugeniusza Romera przedstawia Igor Piotrowski w tekście *Słowo, obraz, terytorium. W stronę kulturowej analizy mapy*, w: *Communicare. Almanach antropologicz-*

gnęłaby tego zadania tak dobrze jak hipertekst, który w swoim macierzystym środowisku pozwalałby mapę Mazur namnożyć, zwielokrotnić, osadzić w czasie, a nie tylko w przestrzeni (znów potwierdza się zasadność odwołań do Bachtina w tym kontekście), ale przede wszystkim od-tekstować.

Robert Traba zauważa jeszcze inną możliwość tkania mazurskiego tekstu-mapy:

Mazury nie doczekały się do dzisiaj w polskiej literaturze popularnej opowieści na miarę swojej niezwykłości. Ciągłe niedoścignionym literackim wizerunkiem Mazur pozostaje powieść urodzonego w Ełku [niemieckie Lyck, w przewodniku Orłowicza bez polskiego odpowiednika „Łek” – przyp. A.K.] Siegfrieda Lenza *Heimatmuseum* (1978, polskie wydanie: *Muzeum ziemi ojczystej*, 1999)³⁰.

Literatura wraz ze związanym z nią współcześnie „zwrotem przestrzennym”³¹ – zdaje się faktycznie doskonałym narzędziem takiego mapowania, w którym mieści się zarówno cała Galicja porównywana przez Leopolda Buczkowskiego do zaginionej Tracji, jak i pojedyncze miasta, na przykład „leżący po środku świata”³² Wiśniowiec (dziś Ukraina, obwód tarnopolski, a przedwojenna przynależność do województwa wołyńskiego Rzeczypospolitej już nam wiele podpowiada, co działo się tam w czasie wojny i jakie

ny 3. *Słowo/obraz*, red. A. Karpowicz, I. Kurz, Warszawa 2010: „Ostatecznie radość jest radością z odzyskanego... bałaganu. Takie przynajmniej odnosi się wrażenie na podstawie map. Naród wywindowany tak bardzo w hierarchii wartości, Polska, która się, jak w wierszu Lechonia, rozsiała «od egipskich piramid do śniegów Tobolska» – tymczasem żmudne negocjacje, tymczasem nie dla wszystkich starczyło miejsca, tymczasem mniejszości etniczne, tymczasem długie, niewygodne granice, które i bez tych negocjacji byłyby pewnie podobne” – komentuje Piotrowski kartograficzną historię odzyskania niepodległości [s. 138].

³⁰ R. Traba, *Po co czytać odkurzone klasyki?*, s. 474.

³¹ Zob. E. Rybicka, *Geo-poetyka. Przestrzeń i miejsce we współczesnych teoriach i praktykach literackich*, Kraków 2014.

³² L. Buczkowski, *Patrzenie! Ona płacze. – Nie płacę – wykrztusiła ze łzami i wybiegła z piwnicy*, w: tegoż, *Młody poeta w zamku*, Kraków 1976, s. 61.

spory o granice wchodziły tam w grę), w którym bada się „sprawę psów w latach 1939–1945” i na podstawie wątpliwych świadectw i śladów domniemywa o stosunku miejscowej ludności do zwierząt, porównując je z różnymi pogańskimi i starożytnymi zwyczajami wymarłych ludów Etiopii, starożytnych Egipcjan i Rzymian. Za zwrotem topograficznym iść by jednak musiały próby alternatywnego uporządkowania historii literatury, stworzenia jej nowej mapy, do czego wystarczyłoby w zasadzie skorzystanie z klucza topograficznego w odniesieniu tak do biografii pisarzy (nawet tych największych i najbardziej „narodowych” jak Adam Mickiewicz), jak i włączenia do kanonu dzieł tych, które i w XX wieku, i w XIX pisane były w „pustych przestrzeniach”, nie zawsze przecież po polsku...

Jeśli przyjąć, że: „[m]iejsce jest tkaniną naszego życia, a jego szwami – pamięć i tożsamość”³³, to współczesne Mazury musiałyby przypominać tkaninę o wyjątkowo luźnym splocie pozszywaną dość niechlujnie i niezręcznie. W pewnym sensie ich mapa kojarzy mi się nawet bardziej z niestarannie uszytą kołdrą skąpo wypełnioną na chybcika czym popadnie, maskującą na przykład patchworkowym Giżyckiem-awersem połataną Lötzen-rewers.

Kołdra i pierzyna pełnią zasadniczo tę samą funkcję; i jedna, i druga składa się ze zszytych ze sobą warstw tkaniny, wypełnionych czymś w środku. Jednak wypełnienie tej pierwszej jest pikowane, w drugiej zaś niczym nieograniczone pierze przesuwa się swobodnie z miejsca w miejsce. Pierzyny są też cieplejsze, a na Mazurach noce niezmiennie bywają nadal równie chłodne jak wtedy, gdy zwiedzał je Mieczysław Orłowicz („Klimat jest dość zimny. Przeciętna temperatura roczna wynosi + 6.1°. [...] Wiosna jest późna i krótka, lato gorące, jesień piękna i chłodna, zima długa i mroźna” [s. 12]).

³³ A. Bonnett, *Poza mapą*, s. 125.

Eiderdown or Comforter? Sewing a Map of the Mazury Region

Summary

This essay analyzes a prewar, Polish guidebook of the Warmia and Mazury regions as it relates to the contemporary topography of the city Giżyck. The author suggests a reading of the city as a place “off the map,” a concept inspired by Alastair Bonnett’s book of the same title. In particular, Karpowicz considers the differences in nomenclature understood as a performative and causative act of textualizing this space. Pointing out the analogies between map and text, this essay proposes an alternate mapping of areas with fluid belonging, frequently transformed and expelled from collective memory, and then established once again, bereft of generational – and more broadly speaking ethnic – continuity, considered an inherent element of the identity of place.

Keywords: geographical space, identity of place, textualization, map, guidebook, Mazury